

## „Różowe flamingi”, czyli coś naprawdę okropnego — Quentin

**Od autora:** Szanowni portalowicze.

Tekst, który przyjdzie wam czytać, nie jest sensu stricto recenzją. Potraktujcie to jako ostrzeżenie, gdyż w żadnej porządnej recenzji nie powinny znaleźć się tzw. spoilery, czyli informacje zdradzające zakończenie filmu lub takie szczegóły fabuły, których uprzednie poznanie, może znacząco ograniczyć przyjemność płynącą z seansu. Tekst zawiera lub może zawierać elementy recenzji, jednak lwią część treści wypełniają osobiste przemyślenia i odczucia autora. Zatem jeśli wszystko między nami jasne, zapraszam do lektury i dzielenia się własnymi opiniami w komentarzach.

---

### **„Różowe flamingi”, czyli coś naprawdę okropnego**

Podobno ludzie się nie zmieniają. Dość ryzykowna teza, ale może coś w niej jest. Może. A wiecie, co na pewno zmieniało się, zmienia i będzie się zmieniać na przestrzeni kolejnych lat? Kino.

Coś, co dawniej uchodziło za wielką kontrowersję, dziś wywołuje co najwyżej uśmiech na twarzach „nowoczesnych” widzów. Przykłady można by mnożyć i mnożyć. Chociażby taka podwiewająca w górę sukienka Marylin Monroe – dawniej gorszyła konserwatystów, a dziś stanowi ikoniczny symbol epoki kina lat pięćdziesiątych. W Palm Springs postawiono nawet wielki na ponad dwadzieścia metrów pomnik przedstawiający walkę słynnej na cały świat seksbomby z ulatującą w górę kiecką. I co, kogoś to gorszy? Właściwie to trochę tak, bo swego czasu trafiłem na artykuł, który głosił, że mieszkańcy Palm Springs uważają pomnik za seksistowski. Ale to przecież tylko mieszkańcy Palm Springs (i do tego z pewnością nie wszyscy), reszta (świata) jest zadowolona. Owszem, trochę ironizuję, ale tylko dlatego, że mierzi mnie poprawność polityczna, bo przecież o to chodzi tym oburzonym.

Ponad pół wieku temu, a dokładnie w 1972 roku niejaki John Waters, którego z czasem nazwano królem kiczu i złego smaku, wraz z grupą przyjaciół nakręcił film – tak kontrowersyjny wtedy, jak i dziś.

„Różowe flamingi” opowiadają o potyczce dwóch stron, które rywalizują o miano najobrzydliwszych ludzi. Cóż, Ameryka wszystko ma naj, więc i obrzydliwość może wynieść na piedestał.

Zepsuta do szpiku kości i przerysowana w karykaturalny sposób Divine żyje ze swoim synem Crackersem, matką (fanatyczką jajek) i współlokatorką imieniem Cotton w przyczepie kempingowej. Pewnego dnia Divine otrzymuje przesyłkę, w której znajduje się kawałek gówna. Spokojnie, nie ma się co (jeszcze) oburzać, bo gówno ma charakter symboliczny. Jest ono swego rodzaju rękawiczką rzuconą prosto w twarz najobrzydliwszej osobie Ameryki.

Nadawcą przesyłki jest małżeństwo Marble’ów, dla których bycie mniej obrzydliwymi od rodziny Divine jest wręcz wizerunkową katastrofą. Connie i Raymond Marble stanowią godnych rywali. O ich przedsiębiorczości i bezwzględności najlepiej świadczy fakt, że z sukcesami prowadzą podziemie adopcyjne. Określenie „podziemie adopcyjne” jest eufemizmem, gdyż Connie i Raymond we własnej obskurnej piwnicy przetrzymują wprowadzone dziewczęta, które rodzą im dzieci. Następnie dzieciaki trafiają w ręce chętnych na adopcję lesbijskich par. Macie już dość? Jeśli tak, zrozumieć, a jeśli nie, winien jestem ostrzeżenie. Dalej będzie tylko gorzej.

Nieco ponad półtorej godziny seansu zafunduje nam istny festiwal obrzydliwości. Jeśli paczka z eks-

krementami nie jest wystarczająco sugestywna, co powiecie na ekshibicjonistę biegnącego po parku z kielbasą przywiązaną do penisa? Albo na scenę seksu oralnego pomiędzy filmową matką i synem, którzy chwilę wcześniej w ramach akcji sabotażowej wylizali wszystkie przedmioty w domu państwa Marble. Jest też inna scena seksu, gdy niewyżyty i perwersyjny jak diabli Crackers usiłuje zaspokoić swoją partnerkę żywym kurczakiem. Nie, nie pomyliłem się, tak właśnie było. Ostatecznie, jakby i to was nie zniechęciło, powróćmy do sprawdzonego numeru z kupą, bo Divine nie cofnie się przed niczym i w ramach ugruntowania swojej pozycji najobrzydliwszej osoby w Ameryce, zje na naszych oczach psi kał.

Po seansie jeden z widzów wypowiedział się o „Różowych flamingach” następująco: „Myślę, że John Waters trzyma rękę na pulsie Ameryki, ale kciuk wsadził jej głęboko w tyłek”. W tej lakonicznej recenzji zawarty jest cały, no może prawie cały sens „Różowych flamingów”.

Film to tak naprawdę przekraczająca granice dobrego smaku i przyzwoitości prowokacja wymierzona w mit o american dream. Nie jest tak, że poprzez nagromadzenie wyjątkowo okropnych i perwersyjnych scen sytuacja po prostu wymknęła się spod kontroli. Nie jest tak, że miało wyjść jedno, a wyszło coś zupełnie innego. Waters nie ukrywa swoich zamiarów. Twierdzi, że gdyby widownia podczas seansu zwymiotowała, byłaby to najwyższa forma uznania. Bo Waters miłuje obrzydliwość ponad wszystko. Ani trochę nie zraziły go opinie krytyków, którzy jego opus magnum określali mianem plugawego i głupiego filmu.

Oceniając „Różowe flamingi” pod kątem fabuły, dialogów i psychologii postaci szybko dojdziemy do wniosku, że nie warto trwonić czasu na ten ekranowy wylew obrzydlistwa. Kiedy pokazałem jedną ze scen swojej małżonce, popatrzyła na mnie tak, jakby utraciła wiarę nie tylko w nasz związek, ale także w moją poczytalność. Cóż, może powinienem był zacząć od czegoś łżejszego niż facet z kielbasą. Moja wina.

Wartością filmu jest przede wszystkim jego idea, a także konwencja. Król kiczu funduje nam okropność za okropnością, stopniując wszystko aż do morderczego finału, którego spodziewamy się prawdopodobnie od samego początku. Scenariusz mógłby równie dobrze zawierać zlepek innych scen, a historia i tak dobrnęłaby za każdym razem do tego samego końca. Właśnie dlatego nie należy aż tak bardzo zwracać uwagi na elementy świata przedstawionego, tylko na język, jakim film się posługuje.

Nie mam pojęcia, jak żyło się ludziom w Stanach Zjednoczonych Ameryki na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku, ale najwyraźniej idea amerykańskiego snu (w znaczeniu dorobienia się) nie wszystkim przypadła do gustu. Narodziny kontrkultury w postaci ruchu hipisowskiego doprowadziły do proklamacji buntu wobec uporządkowanego świata dorosłych; świata ukierunkowanego na materializm i konsumpcjonizm. Nie chcę przez to powiedzieć, że John Waters był/jest hipisem. Zwracam jedynie uwagę na umiejscowienie filmu i jego ideę w okresie historycznym kraju, który zawsze lubił stawiać siebie i swoich obywateli w centrum uwagi.

Sprzeciw Johna Watersa jest bardzo dosłowny i wyolbrzymiony. Gdyby wraz ze swoimi towarzyszami z Dreamlanders (przyjaciele reżysera obsadzani często w jego filmach) założył zespół muzyczny, estetyką najbliższą byłoby im prawdopodobnie do punkowców pokroju Sex Pistols, którzy także w latach siedemdziesiątych wypłynęli na szerokie wody. Tyle że tam wszystko zaczęło się od anarchii w Wielkiej Brytanii, która jednak błyskawicznie rozniosła się na cały świat. Widocznie nie tylko w USA ludzie tego potrzebowali.

Nie chciałbym wyjść na malkontenta, ale intuicja podpowiada mi, że dzisiejszy „bunt młodych” zmierza

do gloryfikowania fałszu i sztuczności, które zwłaszcza w mediach społecznościowych stały się towarem pożądanym. Rzesze influencerów (z trudem używam tego słowa, gdyż brzmi ono zdecydowanie zbyt poważnie jak na określenie ludzi, których wątpliwa twórczość szoruje po intelektualnych mieliznach) stoją w pierwszej linii autorytetów dla współczesnych małolatów, którym hajs i internetowa popularność imponują bardziej od faktycznych osiągnięć. Dziś osiągnięciem jest zebranie odpowiedniej ilości lajków, odsłon i folowersów, zatem fundamentem nie jest znalezienie odpowiedzi na pytania: CO i JAK, tylko ILE, bo ILE zawsze lepiej przelicza się na złotówki lub euro. Wypływa z tego następujący wniosek: nasze dziś zmieniło się w porównaniu do przeszłości. Nasze dziś woli atrakcyjne i modne kłamstwo od brzydkiej, przestarzałej prawdy.

Nie chcę przez to powiedzieć, że kontrkultury hipisów i punków we wszystkim miały rację. Średnio odpowiada mi idea odrzucenia każdego autorytetu ze względu na wiek, klasę społeczną itp. Sęk w tym, że dzieci kwiaty i anarchiści odrzucali tradycyjny porządek w imię własnego bałaganu. Podczas gdy tamci wojowali z systemem po to, aby być sobą, dzieciaki z pokolenia Z pragną być zawsze kimś innym i właśnie dlatego wierzę, a może bardziej chcę wierzyć, że taki gość jak John Waters przynosi nam swoją twórczością odtrutkę działającą z mocą i skutecznością środków na przeczyszczenie. Metoda z pewnością kontrowersyjna, jednak paradoksalnie w całym jego „flamingowym” syfie dostrzec możemy najwięcej prawdy.

Bohaterowie „Różowych flamingów” zachowują się w sposób okropny, bo tacy są naprawdę. Okropni i zepsuci do szpiku kości. Kiedy dziennikarz pyta Divine „jakie są pani poglądy polityczne?”, ta bez wahania odpowiada z dumą „zabić wszystkich od razu”. Nie sposób jej nie wierzyć.

Możecie odnieść wrażenie, że usilnie próbuję tłumaczyć „Różowe flamingi”, gdyż same nie są w stanie się obronić. Coś w tym jest, przyznaję, ponieważ styl lub język kina, jakim posługuje się Waters, może zniechęcić widza do poszukiwania w filmie drugiego dna.

Jak pewnie zdążyliście się już przekonać leciwa już produkcja to jazda po bandzie. Z której strony owej bandy nie spadniemy, zawsze będzie bolało, dlatego dla własnego dobra powinniśmy zaliczyć w miarę płynny przejazd, albo w ogóle zrezygnować z wyzwania. Tak, film Watersa jest wyzwaniem, czego doświadczyłem na własnej skórze póki co tylko raz. Chociaż nie należę do nadwrażliwców, trudno było mi przebrnąć przez niektóre sceny. Kiedy Crackers próbuje zaspokoić swoją partnerkę żywym kurczakiem, zwierzę zostaje zmiażdżone pomiędzy ciałami kochanków, a my widzimy to jak na dłoni, gdyż Waters woli nie zostawiać takich smaczków w sferze niedopowiedzenia. Znęcanie się nad zwierzętami w imię sztuki (wyższej czy niższej, bez znaczenia) to okrucieństwo i żadne intencje tego nie tłumaczą. Co ciekawe sam Waters nie ma z tego powodu w ogóle wyrzutów sumienia. W dodatkowych materiałach, które pojawiły się przy wydaniu filmu w formie DVD, z odautorskiego komentarza dowiadujemy się, że reżyser za nic ma opinię środowisk walczących o prawa zwierząt. Z właściwą sobie szczerością wyjaśnia, że kurczaka nie ma co żałować, gdyż jego przeznaczeniem i tak była rzeź, a dzięki filmowi chociaż podupczył sobie przed śmiercią...

Wiem, trudno w to uwierzyć. Sam do końca nie potrafię zrozumieć, dlaczego fascynuje mnie film gościa, który najwyraźniej jest szalony. Nigdy nie byłem wielbicielem kina transgresji ani estetyki kampowej, jednak obserwując, do czego prowadzi nas dziś wszechobecna poprawność polityczna, czuję, że w szaleństwie Watersa jest metoda. To moje zdanie, wy sprawdźcie sami i pamiętajcie, że jedyne, co wam daję, to paczka, w której odnajdziecie coś, czego będziecie szukali.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Quentin, dodano 23.08.2023 15:55

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).